

Kulisy bitwy grunwaldzkiej

(Historyjka nienadzwyczajna dla przerośniętych małolátów)

W Borach Tucholskich, duktem, szerokości – mniej więcej – około trzech obficie karmionych opasów, człapali stępa na dwóch otepiałych wałachach, każdy do swoim, rycerze zakuci w zbroję, miejscami nieco przerdzewiałej.

Jeden zwał się Grzmisław z Kozichgrzmotów, drugi nosił imię Świromir z Głupiczyna. Obaj chłopcy na schwał, młodzi i dorodni.

Na dukcie w Borach Tucholskich było cicho, przyjemnie, sennie i nudno. Dukt połyskiwał ostatnimi blaski zachodzącego słońca, którego promienie przedzierały się z trudem przez gęstwą listowia, rozłożystych konarów starodrzewia.

Obaj rycerze, Grzmisław i Świromir, byli zaufanymi króla Władysława, agentami służb specjalnych, z licencją upowazniającą do zabijania kogokolwiek, gdziekolwiek i według własnego widzimisie. Po prostu, przed nikim i z niczego nie musieli się tłumaczyć, zdawać sprawozdania, usprawiedliwiać chwalebnych czynów, ale także tych niekoniernie chwalebnych również.

Otóż król Władysław powierzył im sekretną misję poderżnięcia gardel kilku komturom Zakonu Marińskiego, kwaterującym aktualnie w Malborku. A jeśli się uda to król Władysław polecił skrócić kark również Wielkiemu Mistrzowi Zakonu, jeszcze przed nieuniknioną, jak to wynikało z sytuacji polityczno-strategicznej, bitwą grunwaldzką.

Zatem dwaj rycerze pośpieszali bez szczególnego pośpiechu leśnym duktem, chyłkiem i sekretnie w kierunku twierdzy malborskiej, zamczyńska groźnego i – jak na owe czasy – nie do zdobycia.

Główkowali, każdy na swój sposób, pod zakutymi w helmy mózgam, jakim to fortelem dostać się do wnętrza twierdzy, zrobić co swoje, zachowując przy tym w całości własne czerepy. Miarkowali, że ze świętą pomocą w zbożnym dziele przyjdzie niechybnie Bogurodzica-Dziewica, będąca w konkurencji militarnej z zakonem mariańskim, przeto od czasu do czasu zdzierali gardła hymnem: „Bogiem sławena Maryja”. Baczli przy tym, aby nie pobłądzić, zdając się w pełni na orientację topograficzną i wrodzoną inteligencję swych rumaków, dźwigających na grzbietach ciężarych wałkon.

Raptem zza krzaków wychynęła, niemal wprost pod końskie kopyta, dorodna, obszerna dziewczyna, skąpo odziana w zgrzebną sukniokoszulę, rozległe rozchylną na kształtnym biuście, z wdziękiem podtrzymująca kosz z owocami lasu, na tak zwanym naręczu.

Dziewoja, jak na wsiową szlachciankę, o czym świadczyły czerwone chodaki na stopach, gdyż wsiowe dziewczki chadzały raczej boso, była piękna, tą bujną urodą dziecka natury, rosła, rozłożysta, zaskakująco zachwycająca, wskutek czego rycerzom pospadały z oczu bielma, zresztą nie tylko, lecz także części rycerskiej nagłownej garderoby z zakutych w pancerze czerepów, to jest, przyłbice. Wstrzymali zatem konie, które także zarząły z platonicznego podniecenia, widząc tak powabne stworzenie.

Rycerze postanowili zsiąść z wierzchowców albowiem obawiali się, iż od wizerunku ludzkiej klaczy konie, choć to nie były ogiery, mogą się spłoszyć i ponieść. Tym bardziej, że ludzka samiczka bez lęku podbiegła ku jeźdźcom i z zalotnym uśmiechem, przypominającym aku-

stycznie rzenie koni, zaszczębiotała przymilnie:

– Mości panowie, pewnikiem zdrożeni wielce. Skosztujcie atoli dla orzeźwienia świeżych, ledwo co zerwanych z jagodzin borówek lub żurawin. Może jeszcze *czegoniebądz* szczególnego chcielibyście spróbować? Jam chętna – dodała z dworską dziewoja.

Rycerze, jak to rycerze, nie nawykli na ogół do myślenia, do żurawin także się nie kwapili, lasi natomiast byli na to enigmatycznie wypowiedziane słowo: *czegoniebądz*. Zeskoczyli przeto ochoczo z siodeł na ziemię, dworując przebiegle:

– Owszem, owszem, chętnie, czemu nie, wszystkim skosztujemy, jeno po kolei.

Okiem znawców, można rzec – koneserów – którzy z niedjednego pieca kolące pogryzali, oszacowali dziewicze wdzięki pozytywnie, cmo-kając w zachwyceniu nad odsłoniętymi rozległe cynamy i kobylim zadem.

– Cosik nam się widzi, żeś ty pewnikiem Jagienka.

Gdy padła odpowiedź twierdząca, rycerze gwizdnęli przeciągle niczym hodowcy gołębi pocztowych i jeden przez drugiego poczęli opuszczać pantalone, uwalniając je uprzednio od metalowych części, osłaniających golenie oraz uda. Ustalić jednak należało kolejność *użycia zażywej* dziewczuchy. Jagienka tymczasem czekała w pogotowiu z odsłoniętym zadem, pełna nadziei na spełnienie oczekiwań.

Dodać należy, że rycerz Grzmisław, szczególnie nieufny, jak każdy dobrze wyszkolony agent służb specjalnych, dociekał inwigilacyjnie, chociaż wieść gminna o Jagnie rozeszła się szeroko: – Ty żeś to Jagna – zgłębiał prawdę – o której pewien pisarczyk parę wieków później doniesie, że jednym półdupkiem zgniatasz orzechy włoskie, a drugim łupisz orzechy laskowe?

– Jużci, to ja. A wy jesteście pewnikiem ci jurni rycerze, agenci służb specjalnych króla Władysława, co to zmierzacie do Malborka poderżnąć gardła paru komturom krzyżackim, a jakby się powiodło skrócić kark samemu wielkiemu mistrzowi, o czym pewien staruch, po siolach drepcąc, pobrzkuje na gęślach i zawodzi. Mówią o nim *ślepy-jasnowidzący wieszcz*, wróżbita, co to wieści różne wieści. Wernyhora go zowią.

Świromir zaniepokoił się w trosce o tajemnicę państwową, tak jawnie rozpowszechnioną według słów Jagusi.

– Ten staruch to pewnikiem jakiś szpion krzyżacki. Gorze mu! Słyszałaś ty, że owego gęślara osobiście, na własne uszy?

– Nie całkiem. Ot, wieść gminna niesie.

Zadarła następnie wysoko kieckę, ukazując w całej chwale i potędze, jako że majtałasów nie było w modzie przyodziewać, swoje dolne wdzięki, swój okazały zad, o którym pewien poeta informował, może raczej opiewał go w patriotycznej pieśni i w historycznej skali, iż tym okazałym, twarłym jak granit zadem, łupała orzechy. Po czym, ku chwale polskich dziewic, powstała pieśń, w późniejszym konstytucyjnym czasie odśpiewana na sejmie majowym przez posłów Rzeczypospolitej, z okazji, oczywiście, uchwalenia konstytucji 3 Maja, pierwszej w Europie, ale za to nigdy niezrealizowanej. Taki sobie, jak zwykle z polska, fajerwerk. Tym bardziej, że król Staś Poniatowski przeszkoczył na inną platformę, do Targowicy. Lubił frymarzyć i handlować Polską za cenę utrzymania rozporokowych stosunków, ujmując rzecz w nieco szerszym aspekcie, stosunków genitalno-politycznych z carycą Katarzyną.

Pieśń ową śpiewano na melodie: „Witaj majowa jutrzenko, świeć naszej polskiej krainie...”,

niekiedy nawet po kościołach. Tekst został zakulturowany ku chwale Jagienki i jej podobnym dziewczom następująco: „Dawniej były jak kobyły, te nasze polskie dziewice, dupy miały jak ze skały, marmurowe miały cyce...”. Refren, zaczynający się od słowa: *wiwat...*, jednakże nie nadaje się do nagłośnienia, literackiego wyartykułowania, ani do potocznej mowy, bez narażenia co bardziej subtelnych małżowin usznych na przykrość, oraz poczucie wstydu, ani nawet do zapisu odręcznego, maszynowego i komputerowego. Drukować wprawdzie można i należy praktycznie wszystko, zgodnie z tendencjami panującymi w literaturze pięknej, to jednak wypada się tu powstrzymać.

Rycerze, gdy ujrzeli całkiem goły, wspaniały zad Jagienki, wychylający się w całej okazałości spod kurtyny kiecki, zaniechali dociekań na temat gęślarskiej rzekomej zdrady tajemnicy królewskiej, gwizdnęli przeciągle i jeden, jak się rzekło, przez drugiego, na przebiegi, puszczała pantalone, usuwając uprzednio co bardziej krępujące metalowe części zbroi, czyli garderoby rycerskiej. Jagienka tymczasem krasniała w oczekiwaniu pełnym nadziei na dopełnienie się losu, na zadośćuczynienie oczekiwaniom, wypinając zad do użycia. *Bo po to się żyje, aby rzyci używać*.

Wypadało jednak sprawiedliwie ciągnąć losy, kto pierwszy z rycerzy ma stanąć w szranki z hormonalną burzą. Z wylosowanej, nieprzełamanej gałzki jałowca popadło na Grzmisława z Kozichgrzmotów, znanego z jurności w całej okolicy.

Świromir z Głupiczyna przyglądał się ocipiały, jak na mchu tarmoszą się dwa cielska, jak się tarzają i turlają po dukcie, aż ziemia dygocę, gdy kwila, piszcza, kwicza i bzyca, rzeżą i gulgocą, gęgają i pięją układy oddechowe i wydecho-we parzącej się pary. Aż w konarach wiatr zerwał się i postrząsał liście, które grubym kobiercem synpnęły na ziemię, choć do jesieni było jeszcze daleko.

Wreszcie Grzmisław zwał się z brzucha Jagienki jak półżywy byk na ściółkę leśną. Padł na paprocie znieruchomiały. Czekał niecierpliwie na tę chwilę Świromir oraz z rozwartymi szeroko udami rozochociona Jagienka, boć to, co robił Grzmisław było zaledwie przystawczką do obiadu.

Świromir wskoczył więc co rychłej w tę rozwartą przepaść, międląc co sił coraz bardziej seksownie rozkołysaną dziewczęję. Jagusia wołała w zachwycie prosząco, skamłając:

– Och! Och, rycerzu, mocniej, głębiej, gąlopem. Ruchaj, gamoni, ruchaj, co żywo! O, jeszcze, jeszcze! Więc Świromir ruchał wyteżając wszystkie swe rycerskie siły, całą byczą energię, aby wydolić potrzebom pięknej Jagienki. Wreszcie legł, obok Grzmisława *bez serc, bez sił, bez ducha, jak*, nie przymierzając, *szkieletów ludy*.

Jagienka uniosła się z runi leśnej, otrzępała kibic oraz zad z liści, nucąc piosneczkę ludową: „Ty pójdziesz górą, a ja doliną”. Z dobroci serca w czułych cyczach, wzdętych namiętnością, chwilę stała nad śpiącymi, niby ci z Giewontu, rycerzami przyglądając się listownie i w końcu pobiegła w podskokach w chaszczce tucholskiego boru zbierać borówki, żurawiny i maślaki. Tęsknie obrzuciła jeszcze wzrokiem niebieskokom dwa rycerskie wałachy, które z pochyłymi łbami wylizywały gęby swych panów. Stwierdziwszy, że wałachy to też nie ogiery Jagienka wydłużyła podskoki, zagłębiając się w zielonej leśnej gęstwinie.

Rankiem następnego dnia pastuchy z przyłgłej do lasu wsi znaleźli dwa martwe ciała rycerzy i zdychające wałachy.

Co prędzej zaopiekowali się wałachami